

ŚMIELAK MICHAŁ

GLEBA

Copyright © 2023 MICHAŁ ŚMIELAK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW
Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ
Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA

Fotografia wykorzystana na okładce:
GABRIELA ALEJANDRA ROSELL / ARCANGEL
Fotografia wykorzystana wewnątrz okładki:
PAULINA I ŁUKASZ BRZozOWSCY

WYDANIE I
ISBN 978-83-67545-34-1



Wydawnictwo INITIUM
www.initium.pl
e-mail: initium@initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium
Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

MICHAŁ
ŚMIELAK

GLEBA



KRAKÓW 2023

ROZDZIAŁ 1

25 kwietnia 2023 roku

1.

Aleje Jana Pawła II, Stalowa Wola

Godzina 5.30

Dobrotliwą twarz starca przecinały krwiste smugi, nadając świętobliwemu wizerunkowi upiorność. Na bladej skórze królowała czerwień, zalepiała przymknięte oczy, lśnić w ostrym porannym słońcu. Oblepiała liturgiczne szaty i nawet krzyż trzymany w mocno zaciśniętych dłoniach. Ktoś nie miał litości dla kapłana, potraktował go z całą bezwzględnością, bez odrobiny szacunku dla pełnionej funkcji.

Gleba patrzyła na zastaną sytuację z niesmakiem, zdając sobie sprawę, jak zburzy to spokój lokalnej społeczności, gdy ten cały podkarpacki tłumek zacznie szumieć i wygrażać policji, że dopuściła do tak straszliwej zbrodni. Cała Stalowa Wola będzie huczeć, grzmieć od wyrazów oburzenia. Właściwie już się zaczęło, ludzie zebrani pod marketem Carrefour komentowali wydarzenie z zatroskanymi minami, ktoś się przeżegnał, jedna starszuszka całowała co chwilę owinięty wokół pomarszczonej dłoni różaniec. Skąd się tutaj wzięli o tej godzinie?

– Dobrze mu tak – rzucił przechodzący mężczyzna z psem.

Tłumek odpowiedział gniewnymi spojrzeniami i kilkoma uwagami typu „wstydzilibyś się pan” i „spieprzaj stąd”. Facet nie zatrzymał się, poszedł dalej, próbując okiełznać psa na smyczy, chyba boksera, Gleba nie знаła się na psich rasach. Dobrze, że było tu już kilku mundurowych, co działało na gęstniejący tłum uspokajająco.

Na parking zajechał z piskiem opon opel insygnia, ze środka wyskoczył Marian Szatkowski, prezydent miasta. Spojrzał na twarz ofiary, przecięte czerwonymi smugami spokojne oblicze, i trzymany przez niego w dłoniach krzyż. Gleba uśmiechnęła się tylko kącikiem ust, aby nikt tego nie zobaczył – przecież w takiej sytuacji nie wypada – ale pomyślała, że krzyż, na którym zmarł Chrystus, w rzeczywistości pewnie też spływał krwią, a dziś nikt tego tak nie przedstawia. Ludzie zebrani pod wejściem do sklepu na widok polityka nieco głośniej zaczęli wyrażać oburzenie, ich poranna wyprawa po bułki została brutalnie przerwana makabrycznym widokiem, który na długo odmieni oblicze tej ziemi.

– Kto... – zaczął Szatkowski, przelitykając głośno ślinę i wskazując wysoko palcem, jakby nikt inny nie dojrzał efektów działań przestępcy i to on osobiście musiał wszystkim wskazać miejsce zbrodni. – Kto to zrobił?

– Nie wiem – odparła Gleba, wzruszając ramionami.

– Trzeba ustalić sprawcę, szybko, natychmiast, skazać! – mówił, podnosząc głos z każdym kolejnym wyrazem. – Wszystko musicie zostawić i zająć się tą sprawą. Wszystko! Nie ma obecnie innego priorytetu jak ta zbrodnia!

– Nie. – Podniosła papierowy kubek z kawą, upiła łyk. To była dobra kawa.

– Co? – Okrągła twarz prezydenta poczerwieniała. Blond włosy nieco się nastroszyły, a z bładoniebieskich oczu niemal wystrzeliły pioruny. – Jak śmiesz?!

– Ja jestem z wydziału kryminalnego – powiedziała Gleba spokojnie. – Nie będę uganiała się za wandalami.

– To jest nasz papież! – krzyczał prezydent.

– No, wasz – odpowiedziała i znowu upiła łyk kawy.

Spojrzała na olbrzymi mural zdobiący ścianę bloku przy Jana Pawła II czterdzieści osiem w Stalowej Woli. Swego czasu jego powstanie było różnie komentowane w całym kraju, ale nie tutaj. Pojedyncze głosy sprzeciwu tonęły w morzu uniesienia, jakby miejscowi mieli się za ostatni bastion prawdziwych katolików w laicyzującej się Polsce, takie małe podkarpackie przedmurze chrześcijaństwa. Obraz zadumanego papieża, opierającego swe zatroskane czoło na charakterystycznym krzyżu, zajmował całą ścianę jedenastopiętrowego bloku i był dumą lokalnych władz. Aż do tej nocy.

Pod osłoną zmroku ktoś oblał go czerwoną farbą, na dole dopisując: „Obrońca pedofilów”. Musiał korzystać z jakiejś sprytnej wyrzutni albo drona, bo ściana wysokiego bloku lśniła czerwinią od góry do dołu. Szkarłatna skaza spływała kilkoma paskudnymi zaciekami aż na chodnik. Sprawca wykazał się niezłą pomysłowością. Może zrobił to z dachu? W sumie ciekawe, ale nie należało do jej zadań.

– Przecież za to grozi kryminal – wycedził przez zęby Szatkowski. – Kryminal!

– Zależy, z jakiego paragrafu prokurator postawi zarzuty – odparła Gleba. – Ale raczej grzywna będzie.

– Co?

– O ile go złapią.

Prezydent chyba klął w myślach dużo bardziej niż na głos, bo jego usta poruszały się, mrugał nerwowo i zaciskał pięści. No tak, dookoła stali wyborcy, musiał wyrazić oburzenie, ale nie mógł przesadzić.

– Posłuchaj mnie – powiedział, podchodząc do Gleby tak blisko, że poczuła nieświeży zapach z jego ust. – Za tydzień jest trzeci maja. Wiesz, co to za dzień?

– Środa – odparła szybko. Miała akurat wyjechać na weekend do Warszawy.

– Dobrze wiesz, nie pajacuj – wycedził Szatkowski, a smród z jego ust zrobił się jeszcze mocniejszy. – Majówka się zaczyna, ma do nas przyjechać premier, a może nawet i prezydent, kto wie. Ustalamy. I biskup! Nie może to tak być zostawione! – Wskazał palcem na mural.

– Mało czasu – odparła z westchnieniem.

Nie mogła znieść tego nieświeżego zapachu z ust Szatkowskiego, najpewniej został wyrwany ze snu i na szybko opuścił ciepłe łóżko, nie dbając o poranną toaletę. Odwróciła się na pięcie i ruszyła do swojego samochodu, gdzie miała termos z kawą. Niestety, kubek będący zakrętką gdzieś zgubiła i musiała korzystać z kartonowych, podprowadzonych ze stacji Orlen.

Prezydent chciał ruszyć za nią, ale dopadł go jakiś lokalny dziennikarz, prosząc o komentarz w tej bulwersującej sprawie. Słyszała, jak zadaje pytania, a Marian Szatkowski wyćwiczonym głosem udziela odpowiedzi. Na widok dziennikarza

twarz włodarza miasta zamieniła się ze wścieklej w poważną, jakby ktoś przesunął palcem po ekranie smartfona. Nie skupiała się jednak na tym. Na pewno gwarantował, obiecywał, wyrażał oburzenie, a może i ubolewanie. Pies go srał.

– Nie mogłaś go po prostu olać? – zapytał Daniel Wiczak, stając przy drzwiach jej samochodu.

– No przecież olałam.

– Ale tak z klasą, powiedzieć, że to straszne, ale to nie jest robota dla kryminalnych, ale koledzy na pewno ujmą sprawcę i tak dalej.

– Wiesz co, może przygotuj dla mnie wspólnie z kolegami taki słownik, jak powinnam rozmawiać z lokalnymi władkami. Kiedy pochylać głowę, spuszczać wzrok, co obiecać i jak się odzywać, żeby nikogo nie urazić. Wiesz, to trudne dla kogoś, kto przybył z zewnątrz i nie rozumie tych wszystkich feudalnych zależności. Gdzieś tam, w innej rzeczywistości, w mieście nazywanym Warszawa, politycy zajmują się tym, do czego ich stworzono: wciskaniem ciemnoty i bogaceniem się. Policja natomiast łapie wszystkich innych. Prosty układ.

– No tak, u nas w Warszawie.

– A żebyś wiedział.

– Oj, Iga, rok tu siedzisz, a ciągle dziwisz się światu.

– Kawy? – zaproponowała koledze z dochodzeniówki, a ten skinął głową.

Wyciągnęła z uchwytu świeży papierowy kubek i nalała mu do połowy. Daniel był naprawdę dobrym policjantem, świetnym kolegą, ale też był stąd, ze Stalowej Woli. Tutaj się wychował i pełnił służbę od pierwszego dnia swej policyjnej kariery.

– W sumie ciekawe, jak ten gość to zrobił. – Policjant wskazał kubkiem zniszczony mural. – Przecież na to kupa farby musiała pójść. Kilkadziesiąt litrów.

– Złapiesz go, jestem pewna.

– Muszę – westchnął z rezygnacją. – Zniszczył wizytówkę miasta.

– Daniel! Przywołuję cię do porządku! – podniosła głos.

– Co?

– Jakie zniszczył? Co ty bredzisz. Zbez-szcze-ścił! – wycedziła, akcentując każdą sylabę. – Powtórz po mnie, bo to ciebie wyjebią.

– Zbezczecił – powtórzył i zaczął się śmiać.

– Uważaj, żeby nie podniósł ręki na drugi symbol miasta, czyli pomnik wiedźmina – dodała, mając na myśli olbrzymią figurę na największym skrzyżowaniu w mieście, niezmiennie kojarzącą się jej z białowłosym wojownikiem mordującym kolejne hordy potworów.

– To jest pomnik patrioty – odparł, wciąż się uśmiechając.

– Bez kominiarki na głowie i dymiącej racy w dłoni?

Umilkli na chwilę, słysząc było tylko siorbanie z kubków.

– Ładna kurtka – rzucił z uśmiechem Daniel, przyglądając się z boku koleżance.

Uśmiechnęła się szeroko i obróciła dookoła niczym modelka.

– Dwa tygodnie temu komendant mi przysłał, że jak taki ze mnie warszawski policjant, to powinnam nosić jak oni skórzaną kurtkę. No to kupiłam.

– Różową? Nie mieli czarnych?

– Jestem kobietą, Danielku, od dzieciństwa pchaną w różowy świat.

– Śliczna – powiedział z uznaniem. – Nadaje ci charakter, wiesz, te czarne włosy, brązowe oczy, uśmiech złoŃnicy i ten róż. Co na to komendant?

– Wkurwiony jak osa. Kosztowała fortunę, ale warto było.

Pamiętała, jak pierwszy raz spotkali się z Danielem, był piątek i siedzieli w małym pokoju socjalnym. Rano ją przedstawiono, informując bez ceregieli, że została oddelegowana z Warszawy do pracy w ich jednostce. Komendant niemal opowiedział, dlaczego tutaj trafiła, że to kara za spapranie ważnej sprawy w komendzie stołecznej i musi teraz odsłużyć swoje, jakieś dwa lata, a potem będzie mogła wrócić do stolicy. O ile niczego znowu nie spieprzy.

W pokoju socjalnym Daniel przedstawił siebie i kolegów, imionami, nazwiskami i ksywami. Ona też powiedziała, że co prawda nazywa się Iga Ziemna, ale niech mówią do niej Gleba. No i mówili. Wszyscy wydawali się mili. Najgorsze, że czas pokazał, że faktycznie tacy byli. W każdym razie po odbębnieniu niezbędnych formalności poinformowano ją, że w piątki zawsze zamawiają wspólny obiad, taka tradycja. Jako jedyna nie zamówiła ryby, tylko schabowego, czym wywołała niemałe poruszenie. Daniel wziął ją pod ramię i z delikatnym uśmiechem wytłumaczył jej szeptem, że przecież jest piątek i nie jemy wtedy mięsa. Myślała, że robią sobie z niej jaja, że to takie otrzęsiny, zmieni zamówienie i wszyscy zaczną się śmiać i klepać po ramionach, ale nie, on był poważny. Od tej pory zawsze zamawiała w piątki mięso, a w Wielki Piątek na śnia-

danie przyniosła pęto swojskiej kielbasy, której zapach unosił się po komendzie cały dzień. Trochę miała do siebie pretensje, że koledzy byli dla niej mili, pomocni i uczynni, a ona musiała być jednak Glebą, tą twardą, wypełnioną ironią i złośliwością dziewczyną. Jednak nie potrafiła inaczej. A może bała się, że pobyt na prowincji ją zmieni i wróci do stolicy inna, miękka, z wygaszoną ambicją?

– A jeśli cię nie wezmą z powrotem do Warszawy? – zapytał teraz Daniel, popijając kawę z papierowego kubka.

– Poproszę o przeniesienie na inne zadupie.

– Jesteś u nas tak jakby za karę, co nie? Jeśli będziesz pyskować Szatkowskiemu, to ten poprosi komendanta, żeby napaskudził ci w papierach. Nigdzie cię nie przeniosą.

– To odejdę.

– Nie zrobisz tego – powiedział z pewnością. – Ty jesteś pies z urodzenia. Ta robota powstała z myślą o tobie, Iga. Jesteś najlepsza.

– Jestem.

– Więc odpuść.

– Wiesz, dlaczego jestem najlepsza?

– Talent?

– Nie, Danielku, bo nie odpuszczam. Nikomu.

– Tylko taką grasz, a tak naprawdę to jesteś fajna dziewczyna. Wszyscy cię lubią na komendzie, a ciebie to wkurwia. Jesteś tutaj w ramach pokuty, chcesz cierpieć, ale ci tu dobrze.

Nie było jej tu dobrze. Żadnych poważnych spraw, chociaż przestępczość dość wysoka i wciąż rosła. W dodatku mieszkańcy uwielbiali załatwiać swoje porachunki za pomo-

cą noży. Wszędzie nos wtykali księża, radni i sam prezydent, który był chorążyym obozu rządzącego. Płaskie, nudne miasto. O tak, nudne. Nudą wiało na ulicach, w knajpach i kartotekach. Idealne miejsce dla kogoś, kto chciał sobie tutaj doczekać do emerytury, ale nie dla niej. Z każdym dniem miała coraz większe poczucie zmarnowanego czasu.

Westchnęła i upiła łyk kawy. Zadzwonił jej telefon, odebrała machinalnie.

– Ziemna – rzuciła do słuchawki.

Głos w telefonie mówił szybko, z ekscytacją, niemal na jednym wdechu. Gdy Gleba się rozłączyła, spojrzała na Daniela.

– Jadę. Mamy trupa.

– Gdzie?

– Kulochwyty. Wiesz, gdzie to jest?

– Ta. Pojechałbym z tobą, ale jedyny słuszny papież czeka na rozwiązanie zbrodni stulecia – westchnął. – Daj telefon. Wbiję ci w GPS.

Podawała mu smartfon, a on zaznaczył miejsce, do którego miała dotrzeć.

– Dzięki. I powodzenia.

Zobaczyła, jak prezydent Marian Szatkowski po skończonym wywiadzie ruszył w ich stronę. Daniel wyszedł mu kilka kroków na spotkanie, ale ten minął policjanta i szedł mocnym, wkurwionym krokiem w jej kierunku. Trzasnęła drzwiami, odpaliła samochód i ruszyła energicznie. Spojrzała z satysfakcją w lusterko wsteczne, jak polityk coś krzyczy i wskazuje swoje buty.

2.

Kulochwyty, Stalowa Wola

Godzina 6.30

Miejsce nazywane przez tutejszych „kulochwydami” okazało się dawną strzelnicą, na której testowano niegdyś świeżo wyprodukowaną broń. Pamiątka pięknych czasów, gdy Stalowa Wola była gigantem produkcyjnym w obszarze broni i sprzętu ciężkiego. Dziś owo ciekawe miejsce stało się nieformalnym punktem spotkań wszystkich chcących zakosztować wszelkiego rodzaju używek oraz szybkiego seksu. Opuszczone betonowe budynki oraz dziko rosnące drzewka i krzaki strzegły wszystkich przed wzrokiem obcych. Same kulochwyty były budynkami z żelbetu o wysokości około dziesięciu metrów, przypominającymi garaże bez bramy wjazdowej, na oko zdolne pomieścić autobus.

Wszechobecne śmieci informowały, że bywalcy mają olbrzymie pragnienie, jednocześnie nie dysponując zbyt dużymi możliwościami finansowymi. Królowały najtańsze piwa, nalewki spirytusowe i szkło po wódkach urągających podniebieniu każdego człowieka posiadającego chociażby ślad kubka smakowego. Taka ilość napojów poszerzających granice poznania skutkowała niesamowitą ekspresją artystyczną, to, co wlało się gębą, wylewało się na ściany głównie w postaci malowideł naściennych opisujących, kto, z kim i w jaki sposób będzie odbywał stosunki płciowe, zdarzały się kąśliwe uwagi dotyczące sytuacji politycznej w kraju i za granicą, jak i wyrazy zwątpienia w krystaliczną i bezinteresowną służbę policji. Jeśli wykreślić wulgaryzmy, nie zostałyby nic prócz jednego

serca namalowanego chyba w jakimś porywie romantyzmu. Olbrzymie bramy kulochwytyw były niczym szeroko otwarte betonowe paszcze, czarne, ziejące bezzębnością minionych czasów, którą wypłyły i od tej pory głodowały w samotności.

Trup zwisał właśnie z takiej bramy, z kostką lewej nogi obwiązaną łańcuchem, głową w dół, metr nad ziemią. Mężczyzna był ubrany grubo i niechlujnie, buty miał zniszczone, ewidentnie bezdomny lub włóczęga. Twarz zalana szerniałą krwią, która szukała jak najkrótszej drogi ucieczki do gruntu z szeroko rozciętego gardła. Spływała na podbródek, przedzierając się przez posklejaną teraz brodę i długie włosy, całość wyglądała jak nieumyty pędzel, zostawiony przez zapomnialskiego majstra po remoncie. Prezentował się paskudnie. No i śmierdział tak, jak mają to w zwyczaju wszelkiej maści lumpy – odorem zapomnianych melin, niemytego od lat ciała i lęgnącego się w ich ranach robactwa.

Gleba musiała przyznać, że było w tym coś ze sztuki, ten brudny, okrwawiony trup pasował do tego miejsca, z całym tym rojem much i smrodem włóczęgi, słodkim i wyciskającym łzy z oczu, idealnie komponował się z niszczącym betonem, wymalowanymi kutasami, kulfoniastymi hasłami typu HWDP i JP100%, oszczanymi ścianami i stertami śmieci. Może trafił się jej jakiś morderca z artystycznym zacięciem?

Sam trup skojarzył się jej z jedną z kart tarota, wisielcem, który przecież był przedstawiany dokładnie w taki sposób, powieszony głową w dół za jedną nogę. Byleby to nie był jakiś maniak, który wymyślił sobie oryginalny sposób mordowania zgodnie z tymi kartami. Ile ich tam było, z pięćdziesiąt?

Podeszła bliżej, na miejscu byli już technicy, czterech mundurowych policjantów i Karol Damięcki, funkcjonariusz z jej wydziału w stopniu aspiranta. Młody, ambitny, z ciśnieniem na karierę, pracował raptem od trzech miesięcy i nie trafił jeszcze na świeżego trupa. Niewątpliwie czekała go szybka podróż na wysoki stołek, jego matka była europosłanką, więc zaplecze miał mocne, szybko też zaczęto nazywać go Brukselką. Najgorsze, że podobno gnojek zdawał sobie sprawę ze swoich pleców i nosił dupę stanowczo za wysoko nie tylko jak na gust policjantów z komendy. Gleba akurat mijała się z nim i właściwie do tej pory wymienili raptem parę zdań.

– Pani podkomisarz jeszcze na służbie? – zapytał z uśmiechem. No cóż, była znana z tego, że nie brała nadgodzin i bardzo ochoczo wybierała dni wolne. Przeciwnie niż Damięcki, który siedział w pracy niemal całą dobę.

– Miałam już spadać, ale jest trup, komendant powiedział, że musi się tym zająć ktoś z głową na karku – odparła.

– Ja to wezmę – rzucił szybko. – Pierwszy tu dotarłem po zawiadomieniu.

– Kto zawiadomił?

– Anonim – odparł młody. – Dyspozytor powiedział, że miał wschodni zaśpiew, może jakiś nielegalny Ukrainiec.

– Może.

– To mam brać tę sprawę? – zapytał Karol z pewnością w głosie, która trochę nie spodobała się Glebie.

– Nie – odpowiedziała. Minęła go i podeszła do mundurowych.

– O, Gleba – powitał ją szerokim uśmiechem starszy aspirant Paweł Wierzba. Był chyba dzielnicowym tego rejonu.

– Dzwoniłeś, więc jestem – odparła, odwzajemniając uśmiech.

– Pewnie, że dzwoniłem, bo to coś w sam raz dla ciebie. Martwy żul.

– Tak wysoko mnie cenisz?

– Żul jak żul. – Machnął ręką. – Ale co mu tu zrobiono, dziewczyno kochana. Zwiesili go za nogę, potem podcięli gardło. Sprawili gościa jak wieprzka.

– Oni?

– No w jednego byłoby ciężko. Ziomek waży swoje, całkiem rosły okaz lokalnej fauny, *Lumpus Pijacus*. Nazywali go Posejdon.

– Król mórz i oceanów? – zdziwiła się. – Był marynarzem czy co?

– Nie – zaprzeczył Wierzba. – Rzucił się kiedyś na żonę z widłami.

– Jest fantazja w narodzie – skomentowała Gleba ze śmiechem. – Czyli taki klasyczny miejscowy pijaczek?

– I tak, i nie – odpowiedział Wierzba.

– Pani nie zna lokalnych terenów – wszedł mu w słowo Damięcki. – Tutaj trzeba kogoś swojego, ze stalówki, pani podkomisarz. Ja wezmę tę sprawę.

– A co, zlecenie z Brukseli przyszło? – zapytała Gleba i od razu spojrzała na Wierzbę. – Co dokładnie masz na myśli?

– No bo tu mamy część przemysłową miasta... – powiedział mundurowy, patrząc, jak Damięcki odchodzi szybkim

krokiem, mrużąc coś pod nosem. – Może lepiej do niego nie fikać, co? Chłopak może nabruździć.

– Całe życie pod kloszem, przyzwyczajony, że jego życzenia są rozkazem, co nie? – zapytała Gleba. – To tchórz.

– Nawet taki ktoś może być groźny.

– Niech spierdala. – Gleba machnęła lekceważąco ręką.

– Iga, nie zrozum mnie źle, wpadłaś tu z Warszawy, przyjęliśmy cię jak swoją, ale niedługo znowu mykniesz i tyle cię będziemy widzieć. My tu zostaniemy. Z tym dupkiem, jego mamusią i tatusiem, układami i zależnościami.

– Masz rację – westchnęła. – Przepraszam, będę się na nim wyżywać nie w waszej obecności.

– Pokorne dzięki – odparł Wierzba.

– No to mów, co z tym Neptunem?

– Posejdonem – poprawił ją. – Ogólnie to świeży jest w mieście, jakoś tak pierwszy raz widziałem go ze dwa lata temu. Nie kręcił się tutaj, bo to nie miejsce do szwendaczki. Operował raczej na śródmieściu, krążył po parku, koło marketów, McDonalda, Orlenu. Na kulochwyty to raczej przyjeżdża młodzież na rowerach, skuterach, czasem starsi na ru-chanko, żule tu nie bywają.

– Czyli ktoś go przywiózł?

– Na to wygląda. To dobra miejscówka, że tak powiem. Ciemno, daleko od miasta, w pobliżu tylko zakład produkcyjny IKEA, ale tam wiecznie głośno. Nawet jeśli ktoś krzyczał, to ochrona z zakładu nie zwróci uwagi, bo tu często jest imprezowane.

– Czyli jest zakład produkcyjny, a ten pewnie ma kamery, tak? – zapytała.

– Ma, ale tutaj można dojechać z drugiej strony. Droga przez las na tyle szeroka, że samochód przejedzie.

– Jednak sprawdźcie mi monitoring.

– Czekamy, aż podadzą nam godzinę zgonu, czy sprawdzamy całą nockę?

– Jak masz kim robić, to niech sprawdza całą. Albo czekaj. Podreperujemy lokalne stosunki.

Odwróciła się w kierunku wjazdu na polanę i zobaczyła, że Damięcki siedzi na masce radiowożu z naburmuszoną miną.

– Karol! – krzyknęła.

Chłopak podniósł się i ruszył w jej stronę. Szedł jak na ścieżce, pewnie spodziewał się kolejnych szyderstw i przytyków.

– Serio? – zapytał z westchnieniem Wierzba, widząc, jak chłopak zmierza w ich kierunku, po czym przystaje i prostuje się niczym do komendy „baczność”.

– Zajmiesz się ze mną tą sprawą – poinformowała Gleba Damięckiego. – Faktycznie, potrzebny jest ktoś lokalny. Skocz do zakładu IKEA i zabezpiecz monitoring z tej nocy, rozpytaj ochronę, czy działa się coś szczególnego. Przejeźdź trasę do śródmieścia i zobacz, gdzie są jakieś kamery dające szansę na ciekawe ujęcia. Szukamy samochodu, w którym mogłoby się zmieścić ciało.

– Robi się! – Chłopak skinął głową z entuzjazmem.

– Chcesz być na sekcji?

– Jasne!

– To ogarnij kamery i widzimy się na komendzie. Po obiedzie skoczymy na krojenie, nie sądzę, aby mieli coś pilniejszego do roboty.

– I pamiętaj o Wampirze! – rzucił Wierzba.

Chłopak machnął lekceważąco ręką, po czym zawinął się na pięcie i ruszył dziarsko w stronę radiowozu, za nim podążył jeden mundurowy.

– O czym? – zapytała Gleba.

– Taka legenda krążąca sobie wśród lokalnej patologii – wyjaśnił dzielnicowy. – Jak któryś z meneli albo żuli zaginie, to że niby Wampir na nich poluje. Morduje ich i wrzuca na rynek handlu organami do przeszczepu. Tylko kto by chciał ich wątrobę albo płuco, litości. Zresztą pieprzą tak od lat, nie znaleziono nawet pół ciała. Ci ludzie często gdzieś wyjeżdżają na inne meliny, czasem umierają w zapomnieniu, trafiają na odsiadkę, różnie bywa.

– No to niech się młody wykaże, ma prosty materiał – stwierdziła Gleba. – Idealny, żeby pouganiać się za wampirami.

– Ile to entuzjazmu w młodym człowieku – zakpił Wierzba, wskazując ruchem głowy w stronę Damięckiego. – Ale serio, sekcja po obiedzie? Aż taka jesteś wredna?

– Namówię go na schabowego, wieprzowina trawi się pięć godzin, ciężko wychodzi – powiedziała. – A ty mów, co tu według ciebie się wydarzyło.

– No nie są to raczej żadne porachunki – odpowiedział Wierzba. – Takie rzeczy załatwiają na melinach, dając sobie po mordach, czasem pójdzie w ruch butelka, bywa, że nóż. Posejdon był przyjazny, nie zaczepiał ludzi, zbierał puszkę, butelki. Właściwie nigdy nie miałem z nim problemów. Nie nagabywał klientów pod sklepami, nie straszył dzieci, poja-

wiał się na rejonie raczej z rana albo po zmierzchu. Nieszczęśliwy człowiek, któremu w życiu nie wyszło.

– Kim był w dobrych czasach?

– Nie wiem. Właściwie to dość tajemniczy gość. Podobno nie lubił opowiadać o sobie i nie był stąd. Kiedyś się pojawił i już. Opowiedział, jak to żona wygoniła go z domu, bo rzucił się na nią z widłami, no i szybko dorobili mu odpowiednią ksywę. Od tej pory stała szychta na rejonach, coś tam wyzebrać, potem to przepić, gdzieś przenocować. Coś tam zarobić, potem się znieczulić i od nowa.

– A ta żona, co ją zaatakował widłami?

– Tak mówią, ale czy ją ktoś kiedyś widział, tego nie wiem – odparł, wzruszając ramionami. – Ale popytam.

Patrzyli przez chwilę w ciszy na wiszące zwłoki i techników, którzy praktycznie już byli gotowi do rozpoczęcia pracy na miejscu zbrodni.

– Przypomina trochę wisielca z tarota – odezwała się Gleba.

– Nie – odpowiedział dzielnicowy. – Ręce mu zwisają, a powinien mieć związane na plecach, w dodatku wisi za lewą nogę, nie prawą, a druga powinna być zgięta w kolanie, a tutaj po prostu wisi.

– Aspirancie Wierzba, ale mi pan zaimponował w tej chwili – skwitowała ze śmiechem Gleba. – Marnuje się pan w tej prewencji.

– Żona wierzy w te bzdury – odpowiedział dzielnicowy, zdejmując czapkę i drapiąc się po głowie. – Na okrągło ogląda w telewizji kanały z wróżbami. Ja sobie mogę tylko przełączyć

na mecz, ale ta i tak zazwyczaj mi mówi, ile będzie, bo podobno wywróżyła sama z kart. Jeden temat ma z koleżankami, więc znam sprawę dość dobrze.

– Mówisz, że bzdury?

– Wyniku meczu nigdy nie trafiła – powiedział, śmiejąc się. – No ludzie kochani. Wystarczy spojrzeć na tych pseudowróźów, wszyscy poubierani, jakby obrobili sklep z ciuchami dla arabskich księżniczek, jaka to wiarygodność? Jeśli ktoś wierzy, że namalowane na kartonikach obrazki przewidzą mu przyszłość, to nie powinien trafiać do telewizji, ale do najbliższej poradni zdrowia psychicznego. Ja rozumiem, że kiedyś tam, w średniowieczu, lud ciemny był i w magię wierzył, ale teraz?

– Skoro nie porachunki, nie jakiś maniak od tarota, to co? – zapytała Gleba.

– Na moje to jednak maniak – odpowiedział Wierzba. – Wypatrzył ofiarę, przywiózł tutaj, zaszlachtował i spokojnie wrócił do bycia poczciwym człowiekiem. W jakimś dużym mieście, może w Ameryce nawet, to pewnie byłby początek ataków seryjnego mordercy, ale nie u nas. W Stalowej, jeśli trafiliby się seryjniak, to byłby nudny jak flaki z olejem.

– I przestrzegał postu – dodała Gleba.

– To na pewno – zaśmiał się Wierzba. – A co ty myślisz?

– Ktoś tu zadał sobie sporo trudu, żeby nam przygotować to wszystko. – Wskazała budynek i wiszącego Posejdoną. – Odłowił go na mieście, brudnego i śmierzącego. Przywiózł tutaj, zawiesił na łańcuchu, podciął gardło. Zainwestował czas, środki, miał pomysł, nie bał się nakrycia. To nie takie

znowu odludzie. Skąd wiedział, że jest tu pusto? Przyjechał wcześniej?

– Seryjny?

– Rzadko atakują mężczyzn, a jeśli już, to najczęściej z podtekstem seksualnym. Mocno bym się zdziwiła, gdyby tutaj zaszła taka okoliczność, oj, mocno. Gdyby to była dziewczyna, młody mężczyzna albo dziecko, to tak, wielce prawdopodobne. No nic, musimy poznać przeszłość naszego Posejdonego, może to krwawa zemsta za jakieś jego wyczyny, to bym obstawiała. Może grupa dzieciaków chciała się zabawić i zapolowała na bezdomnego, ale sprawy poszły za daleko? Takie przypadki się zdarzają.

– Można zacząć? – zapytał szef techników, spoglądając na Glebę.

– Czyńcie swoją powinność – odparła. – A ty chodź, zabierzesz mnie na kawę – powiedziała do Wierzby. – Czeka mnie długi dzień.

Zadzwonił jej telefon, rzuciła okiem na wyświetlacz. Dobijał się jej przełożony, inspektor Franciszek Andrzejczak.

– No i spokój zburzony – westchnęła, odbierając.

Jeszcze nie wiedziała, jak bardzo ma rację.

3.

*Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki,
Stalowa Wola*

Godzina 9.00

Inspektor Franciszek Andrzejczak, komendant powiatowy policji w Stalowej Woli, był człowiekiem, który lubił

konkrety, więc szybko porozumieli się z Glebą co do jej losów w podległej mu jednostce. Ma robić swoje, raczej sprawy poboczne, a po dwóch latach wraca do stolicy. Układ był jasny i, co najważniejsze: zdrowy. Gleba nie przybyła tu zbawiać świata i nikt tego od niej nie wymagał.

Bardzo podobnie sprawy miały się z naczelnikiem wydziału kryminalnego, komisarzem Szymonem Bednarskim. Był to porządny policjant, oddany swej robocie, w dodatku lokalny działacz społeczny, pracował z trudną młodzieżą, ucząc jej boksu i organizując obozy sportowe. Nie chciał kłopotów, cenił święty spokój zarówno w pracy, jak i na ulicy. Niestety, zdarzały się ekscesy, jak chociażby trzy trupy po wymianie uprzejmości za pomocą noża między lokalnym elementem w dwa tysiące piętnastym czy atak nożownika w galerii handlowej Vivo zakończony dziewięcioma rannymi i jedną ofiarą śmiertelną. Ale na ogół było spokojnie.

A teraz obydwaj siedzieli w gabinecie komendanta i patrzyli Glebie w oczy, pomlaskując co chwilę i wzdychając. Ich wzrok przyciągała też kurtka, z którą ostatnio się nie rozstawała, jakby to była jej druga skóra.

– Iga, mocny poranek, co? – zapytał naczelnik.

– Chodzi o papieża? – odpowiedziała pytaniem.

– Raczej o prezydenta – powiedział komendant. – Dzwonił i mówił, że okazałaś całkowity brak szacunku i takie tam.

– Mamy trupa – odparła krótko.

– To zwykły żul, pewnie jakieś porachunki między elementem – stwierdził komendant. – Naprawdę nie ma co wnikać. Czasem takie rzeczy się zdarzają.

– No to ciekawie tu u was, jak kierownicy spod Biedronek w walce o śmietniki zarzynają się jak wieprzki. Co będzie dalej? Zaczną sobie podkładać bomby na melinach?

– Sprawę oczywiście trzeba wyjaśnić – oznajmił komendant. – Bezdyskusyjnie. Słyszałem, że zaprzęgłaś do tego młodego Damięckiego. I dobrze. Niech chłopak się wykaże. Idealna sprawa na początek.

– Dokładnie – zgodził się naczelnik. – Aż przebiera nogami.

– No niech robi – powiedziała Gleba. – Trochę się przy mnie nauczy. Chyba że mnie odsuwacie od sprawy? Mam szukać tego, co śmiał podnieść rękę na klejnot Wadowic?

– No nie jest to w twoich kompetencjach, sprawa poszła do dochodzeniówki – stwierdził komendant. – Ale prezydenta mogłabyś przeprosić.

– Kwiaty mam wziąć na fakturę? – zapytała. – Czy woli czekoladki?

– Nie kpjij, Iga – sapnął naczelnik. – To ważna persona, po co z nią zadzierać. Jak by nie patrzeć, to nasz przełożony.

– Panowie, dajcie spokój. – Odchyliła się na krześle. – Nie będę nikogo przepraszać, bo i nie ma za co. Jak on taki wrażliwy, to niech zajmie się pisaniem wierszy, a nie polityką. Od sprawy mnie też nie odsuniecie.

– Nie? – zdziwił się naczelnik.

– Nie – odparła z pewnością Iga. – Jeśli młody coś w niej spierdoli, a jest to bardziej niż pewne, to poleci mu to po całej karierze. Sami wiecie, będą gadali, że to ten, co sobie z żulem nie poradził. Mamusia nie będzie zadowolona. Już na niego

mówią Brukselka, musi się wykazać, żeby miał jakiś posłuch. Potrzebuje zatem kogoś, kto z nim pociągnie te sanki.

– To nie przedszkole – zaprotestował komendant. – Jak ja przychodziłem do roboty, to mój naczelnik rzucił mi papiery pierwszej sprawy na stół i powiedział: „Masz łeb i chuj, to kombinuj”. Takie przeszkolenie miałem.

– Iga ma rację, Franek – wtrącił się naczelnik. – To mój wydział i sam wiesz, że młodego chcemy się szybko i bezboleśnie pozbyć. Już podobno na niego czeka jakiś etacik w CBŚP.

– Niech zasługi idą na jego konto – dodała Gleba. – Mnie to do szczęścia niepotrzebne.

– Co się tak spinasz nad tą sprawą, co? – zaciekał się komendant. – Uważasz, że to coś dużego?

– Toż to sam Posejdon został zamordowany w Stalowej Woli – powiedziała teatralnym głosem, wstając. – W mieście, które tylko pokarane rażącą niesprawiedliwością losu nie znajduje się nad morzem, ginie władca mórz i oceanów. Dzielna policjantka rusza do boju, by mityczni bogowie...

– Iga, dorośnij – przerwał jej komendant.

– W dodatku za sprawą stoi legendarny Wampir porywający niewinnych żuli z ich siedlisk. Czy dzielna policjantka...

– Dobra, idź już – westchnął komendant, przerywając jej ponownie. – Działajcie razem, szybko i sprawnie. Zamknijcie to, błagam. Byle przed majówką, bo Szatkowskiemu zaczyna odpierdalać. I daj spokój z tym Wampirem.

– Wedle rozkazu – zasalutowała Gleba.

– Aha, Iga! – Głos komendanta zatrzymał ją z dłonią na klawecie. – Przeprosisz prezydenta?

– Zróbcie to za mnie – odparła. – Kupcie mu jakieś czekoladki, kwiaty, może obrazek z Kaczyńskim. Nie wiem, co go tam rajcuje.

Wyszła, zamykając za sobą delikatnie drzwi. Zauważyła jednak płochliwe spojrzenia swoich przełożonych, gdy wspomniała o Wampirze. Coś było na rzeczy.

4.

*Komenda Powiatowa Policji, ulica Jerzego Popiełuszki,
Stalowa Wola*

Godzina 11.00

– Mam monitoringi – oznajmił Damięcki, wchodząc do pokoju zajmowanego przez wydział kryminalny. – Zaraz wszystkie przejrzę.

– Karolku, daj spokój – powiedziała spokojnie i z uśmiechem. – Wrzuć to komuś z ludzi, kto nie ma nic lepszego do zrobienia. Szukaj takich, co to nie mają na pagonach ani jednej belki. Ty masz lepsze rzeczy do roboty.

– Jakie? – zaciekawił się.

– Po pierwsze, to papierologia z porannego zdarzenia. Niestety. Pamiętaj, nawet jeśli brałeś udział w strzelaninie, pozbyłeś się gołymi rękami tuzina przestępców, wrywając im języki, wylupując oczy i przegryzając gardła, wracasz do biureczka, myjesz ręce i ładnie wszystko opisujesz smutnym i bezbarwnym językiem. Nawet James Bond pisał raporty. Jak skończysz, to lecimy na obiad, potem na sekcję Posejdona. Możemy jeszcze skoczyć na te kulochwyty, chciałabym zobaczyć, jak tam się dojeżdża od tyłu.

– Od Przyszowskiej?

– Dokładnie. Następnie wracamy tutaj, aby postawić pierwsze hipotezy. Warto, abyśmy do tego momentu mieli wyniki z przejrzanego monitoringu. Niech spiszą wszystkie samochody od północy, raczej wcześniej nie przyjechał. Szczególną uwagę niech zwrócą na takie, które pojawiają się dwa razy, możliwe, że zajechał chwilę wcześniej na rekonesans. A jak postawimy hipotezy, to idziemy się wyspać, bo jutro trzeba będzie zacząć działać.

– Mogę zostać na noc.

– Nikogo nie przesłuchasz, nie przepytasz. Będziesz tak łąził w kółko po pokoju? Możliwe, że jeszcze kilka nocek zarwiemy przy tej sprawie, szczególnie jak trzeba będzie za kimś łązić.

– Mimo wszystko...

– Nadgorliwość gorsza od faszyzmu, pamiętaj. Sztuka to zrobić, a nie się narobić. Wyśpimy się i jutro pojedziemy powęszyć wśród kolegów z pracy Posejdona. Teraz zrób papiery i widzimy się na obiedzie.

– Gdzie?

– Chińczyk. Ten w galerii.

Wstała od biurka i przetarła oczy. Piekły jak cholera. Nieprzespana nocka dawała się we znaki. Kawy wypila aż zbyt wiele, musiała wytrzymać jeszcze kilka godzin, po sekcji chyba rzeczywiście pójdzie spać.

Wyszła przed budynek i spojrzała w słońce, od razu kichając. Zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz i zakłęła. Zapomniała powiedzieć Albertowi, że nie wróci do domu po

nocce. Był jej obecnym... No właśnie, kim? Opuszczenie stolicy okazało się gwoździem do trumny dla jej związku z poprzednim chłopakiem. Wytrzymali z Kosmą na odległość pół roku, po czym postanowili dać sobie spokój. Nie planowała nowego związku, postanowiła wykorzystać czas na prowincji do podreperowania swoich umiejętności, zapisała się do klubu Kumiko na mieszane sztuki walki. Już na pierwszych zajęciach poznała Alberta, dała się zaprosić na kawę i jakoś tak poszło.

– A ty nie powinnaś być w swoim domu i czekać na mnie? – zapytał Albert. – Wbijam ze śniadaniem, a tu ciemno wszędzie, głucho wszędzie.

– Trupa mamy.

– Kiepska wymówka.

– I ktoś zbezczcił mural z papieżem.

– Uuuu, to zmienia postać rzeczy. Coś czuję, że przywrócić karę śmierci.

– Bardzo możliwe. Znając Pismo Świète, to szykuje się ukamienowanie. W każdym razie wrócę wieczorem i muszę odespać.

– Czyli nie będzie cię dzisiaj na treningu?

– Nie da rady.

– Dobrze. Walcz z przestêpcami i daj znać, jak skończysz. Buziaki.

Rozłączył się. Glebie zawsze imię Albert kojarzyło się z kimś poważnym, może i nawet wykładowcą uniwersyteckim, a nie z gościem walczącym na galach MMA i prowadzącym szkołę walki. Co ciekawe, to kompletnie nie interesowa-

ła go jej policyjna robota, nigdy nie dopytywał o szczegóły prowadzonych spraw. W każdej wolnej chwili zabierał ją na długie spacerunki, tłumaczył zawiłości hodowli pszczoł, bo było to jego hobby. Mówił, że po treningach, walkach, najlepiej odpoczywa mu się właśnie z pszczołami, gdzie potrzeba wielkiej delikatności i cierpliwości. Czula podskórnie, że nie jest im pisane wspólne życie aż po grób, ale był tu i teraz, w przeciwieństwie do Kosmy. Wstydziła się nieco, że traktuje go niemal jak samochód zastępczy, ale on był chyba tego świadomy i nie przeszkadzało mu to, przynajmniej taką żywiła nadzieję.

Wsiadła do samochodu i rozłożyła fotel. Musiała zdrzemnąć się pół godziny. Nauczył jej tego właśnie Albert, *power nap*, czyli krótki, trwający od kwadransa do trzydziestu minut przerwany w ciągu dnia. Ładował baterie i dawał energię potrzebną do działania w chwilach wzmożonego wysiłku. Nastawiła budzik i zamknęła oczy. Sen uderzył w nią jak pięść boksera.

5.

*Restauracja Silver Dragon, galeria Vivo, Stalowa Wola
Godzina 13.30*

Przed sekcją miała załatwić Damięckiego wieprzowiną, ale postanowiła dać mu szansę. Jedną. I nieco odpuścić. Tak troszkę. Dlatego poradziła mu zupeł, ale Karol zdecydowanie zamówił pad thai z wieprzowiną. No cóż, sam tego chciał.

Gleba była odporna, widziała już wiele sekcji zwłok i trupy w różnym stadium rozkładu, więc żołądek nie powinien sprawić jej niespodzianki. Zamówiła zatem chrupiący filet z kaczki, który przyrządzano tutaj całkiem nieźle.

– Nie było problemów z ustawieniem sekcji na dzisiaj? – zapytał Karol, nalewając im do szklanek wody.

– Już trwa – odparła Gleba, rzucając okiem na zegarek. – Lekarz wieczorem jedzie na jakiś mecz czy coś, więc nieco się spieszy. Wpadniemy już na sam finał. Co nas interesuje, ile waży wątroba Posejdona? Liczy się podsumowanie.

– Myślałem, że będziemy od początku.

– Nic ciekawego.

– Nigdy jeszcze nie widziałem autopsji.

– Napatrzysz się w życiu. Chyba że plotki nie kłamią i szybko awansujesz.

– Zbytek łaski.

– Dlaczego? – zapytała Gleba.

– Zawsze chciałem być policjantem. Rodzice, a właściwie matka bardzo chciała wkręcić mnie w politykę. Wiesz, wysłać na jakieś studia dobrze wyglądające w życiorysie, prawo albo coś, a potem powoli budować mi pozycję. Niektórzy myślą, że ja tu przyszedłem jej na złość, ale to moje marzenie. Niestety, tutaj też mąci.

– Myślałam, że pomaga.

– Gdzie tam – zachnął się. – Chciałem przeprowadzić się do Gdyni albo Gdańska, lubię morze, ale wsadziła mnie na rodzinne tereny, bo ma tutaj mocne znajomości. Już mi nawija, że policja to za niskie progi, powinienem być w CBŚP albo SOP. Oczywiście jakieś stanowisko za biureczkiem, może rzecznik prasowy. Ktoś medialny. A wiesz przecież, jak patrzy się na takiego dupka z nadania...

– Wiem.

– Już tutaj na mnie krzywo zerkają. Że niby Brukselka jestem, bo matka ma stołek w Europarlamencie, sama wiesz. Polityka to nie jest bagno, tylko gówno. Trzeba ciągle za kimś biegać i mu włożyć w dupę, nieustannie. I po co? Myślisz, że jak jesteś ministrem, to się to kończy? O nie, nic z tego. W naszym domu bywają na okrągło najróżniejsi politycy, wszyscy mają te same miny, psa czekającego, aż mu ktoś rzuci patyk. A gdy rzuci, to zagryzą wszystkich, którzy będą chcieli po niego pobiec. To nie dla mnie.

– Ty chcesz być policjantem – powiedziała Gleba chyba nawet i ze zrozumieniem. Tak, doskonale go rozumiała.

– Ja chcę być takim policjantem jak ty. Najlepszym.

– Zmień idola, Brukselko – odparła, uśmiechając się. – Ja wcale nie jestem wzorem do naśladowania.

– To, co mówisz, tylko to potwierdza. Ale ty dobrze wiesz, że jesteś zajebista.

– No nie taka znowu, jak mówisz, za coś mnie jednak wykopali ze stołecznej.

– Za bzdurę.

– Za samowolkę, Karolku. Podczas ważnej sprawy dałam się wykiwać przestępcy tylko przez własną niekompetencję. Gdybym słuchała przełożonych, postępowała według procedur, to nie siedziałabym tutaj z tobą.

– Ale w końcu go złapałaś.

– Tak.

– I zabiłaś.

– Kolejna samowolka.

– A doszłoby do tego, gdybyś postępowała według tych procedur?

Gleba westchnęła. Nigdy nie uważała się za mentorkę, to raczej jej udzielano rad. Co miała powiedzieć temu chłopakowi przed pierwszą ważną sprawą? Spojrzała tęsknie w kierunku kuchni, wypatrując jedzenia, może to pozwoliłoby zmienić temat, ale znikąd nie było ratunku.

– Pamiętaj, Brukselko, jesteście służbą mundurową – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Jak chcesz być indywidualistą, to załóż sobie firmę, zostań naukowcem, nie wiem, może piosenkarzem albo blogerem. W policji, zanim wpadniesz na genialny pomysł, zapytaj się kogoś nad tobą, czy wolno.

– Ale u nas pozwalasz sobie na wiele.

– Tak. Bo mi na to pozwalają. Jestem jak dziecko, które wpadło do dziadków na wakacje. Podokucza z tydzień czy dwa i wraca do rodziców. Można mu wiele wybaczyć. Nie idź tą drogą.

– Chcę się dużo od ciebie nauczyć.

– To posłuchaj: przed pierwszą sekcją nie jedz nawet śniadania – powiedziała, gdy wywołano ich zamówienie.

Karol poszedł do lady i wrócił z jedzeniem, postawił przed nimi tacę z parującą zawartością. Oblędnie pachniało i wyglądało niesamowicie, kaczka jeszcze skwierczała na gorącym półmisku. Glebie nie przeszkadzał nawet tłum ludzi przewijających się przez galerię, na służbie w Warszawie nauczyła się ignorować szarą masę przechodniów. Rzuciła się na swoją porcję niczym wygłodniały wilk. Damięcki przyglądał się przez chwilę talerzowi, ale w końcu złapał za widelec.

– Muszę nauczyć cię jeść pałeczkami – stwierdziła Gleba. – No i kolejna wskazówka: jak będziesz rzygał, to zaciskaj zęby, żeby gęste zostało. Szkoda oddawać, zajebicie tu gotują.